

Z otwierającym religijny rok żydowski świętem Rosz-ha-Szana wiąże się zwyczaj Taszlich, czyli odmawiania modlitw i symbolicznego topienia grzechów w wodzie. Tymczasem właśnie w okolicach tego święta rabinat warszawski w 1890 r. wydał obwieszczenie, którego tekst miał być odczytany we wszystkich bóżnicach i domach modlitwy nadwiślańskiego grodu. Przewodnicy duchowi religijnej społeczności Żydów warszawskich wyrzucali w nim swym współwyznawcom złe zachowanie się w miejscach publicznych, a zwłaszcza tłoczenie się, przepychanie, głośnie wykrzykiwanie itp. Z tego, jak dowodzą, mogą wynikać m.in. źródła niechęci chrześcijan do wyznawców judaizmu. Przeto, powołując się na nakazy religijne, a także na względy bezpieczeństwa całej społeczności, rabinat zaklinał, by Żydzi starali się przyzwoicie zachowywać wobec siebie, a zwłaszcza wobec innowierców. Równocześnie wzywał on do powstrzymania się od wychodzenia nad Wisłę w celu odprawiania tam Taszlich. Zalecano odmawianie modlitw bądź w domu, bądź przy studni na podwórzu.

Tego rodzaju stanowisko rabinatu przypadło do gustu zwłaszcza kręgom „postępowym”. Poprawa wyglądu przeciętnego Żyda oraz tzw. „europeizacja” obyczajowości od dwóch co najmniej pokoleń bardzo leżała im na sercu. Postawę rabinatu interpretowano jako przejaw racjonalizacji kultu i zarzucenia zasady „lepiej z tłumem, jak z rozumem”. Dopiero późną jesienią 1890 r. stało się powszechnie wiadomym, że źródła wydania przez rabinat wspomnianego obwieszczenia były zupełnie inne. Oto bowiem jego przedstawiciele zostali jeszcze przed świętem Rosz-ha-Szana wezwani przez warszawskiego Oberpolicmajstra. Efektem tej rozmowy było wydanie interesującego nas obwieszczenia. „Niestosowność” masowych publicznych obchodów była bez wątpienia związana ze wzrostem nastrojów antysemickich w ówczesnej Warszawie. Takim oto symptomem rozpoczynał się w tym mieście rok 5651.

Obwieszczenie rabinów warszawskich spotkało się z szerokim odzewem. W jego efekcie m.in. w październiku 1890 r. rzucono projekt zawiązania stowarzyszenia, które miałoby zatrudnić grupę najuboższych krawców, tzw. łacıarzy. Mieli oni na podstawie kartek, rozdawanych ubogim, dokonywać napraw odzieży biedaków. Myślano także o założeniu stowarzyszenia zajmującego się szerzeniem tzw. „obyczajności” wśród Żydów.

Podczas obchodów święta Rosz-ha-Szana nie mógł wystąpić w Wielkiej Synagodze na Tłomackim jej kaznodzieja Izaak Cyłkow. Na szczęście jego choroba okazała się niezbyt długa, tak że już podczas obchodów Jom Kipur mógł on wygłosić swą mowę w czasie bodaj najważniejszego ze „strasznych dni” otwierających rok religijny. W czasie tychże uroczystości w synagodze na Tłomackim kursowały kartki wyborcze. Elekcja członków władz społeczności synagogałnej była najważniejszym wydarzeniem omawianego roku. Wywołała ona sporo dyskusji, które okazały się burzą, w szklance wody. Obawiano się zwłaszcza o losy związanych

z synagogą szkoły i biblioteki. Marazm duchowy, trawiący społeczność największej świątyni żydowskiej Warszawy, odbijał się bowiem negatywnie na jej egzystencji. Niepokoje te potwierdzały fakty coraz to częstszych przypadków występowania z niej. Związane z tą synagogą środowisko postępowców w pewnych momentach poczynano tracić już kontakt z duchem judaizmu. Pojawiły się np. projekty usunięcia j. hebrajskiego z modlitw. Także na uroczystość Symchas Tora 7 X 1890 r. na Tłomackie przybyli głównie gapie, chcący podziwiać jej przepych. Natomiast w samym obrzędzie uczestniczyła nieliczna garstka członków Synagogi. Podobna była frekwencja wyborcza (185 osób). Na przewodniczącego Komitetu Synagogi wybrano większością głosów (174 głosy) Henryka Natansona, który poprzednio także pełnił tę funkcję.

Z licznymi trudnościami borykała się także Gmina Żydowska w Warszawie. Ciążyły na niej liczne wydatki związane nie tylko z podtrzymaniem przez nią istnienia licznych instytucji finansowanych, ale także wynikające z potrzeb opieki nad ubogimi. Tymczasem właśnie nasilało się zjawisko pauperyzacji mas żydowskich w Warszawie. Dramatycznym tego dowodem były ogłoszenia pojawiające się w ówczesnej prasie, takie jak np.: „P. Ch...., od lat 30-u nauczyciel prywatny, dotknięty obecnie nieuleczalną chorobą, wskutek której nadal na utrzymanie swoje pracować nie może, znajduje się w bardzo smutnym położeniu, i w tej ostateczności przypomina się dobroczynnym osobom, polecając się łaskawym ich względom” lub „Polecamy miłosierdziu spół- wyznawców nieszczęśliwego 90-cio letniego starca, p. Szw-ra, autora kilku dzieł hebrajskich, pozostającego na schyłku dni swoich w stanie najopłakańszego ubóstwa”. Warto przy tym podkreślić, że władze policyjne nasiliły jesienią 1890 r. walkę ze zjawiskiem żebractwa. M.in. groziły one karami krewnym ludzi niedołącznych i starych, którzy nie otaczali ich opieką.

Tymczasem gmina nie dysponowała odpowiednimi do tych rosnących potrzeb środkami. W jej budżecie co roku przewidywano pozycję, pochodzącą z ofiar członków gminy, na wsparcie biednych. W 1890 r. wpływy tego rodzaju nie osiągnęły spodziewanej wysokości i jesienią tegoż roku musiano zacząć odmawiać wsparcia potrzebującym w najbardziej naglących wypadkach. W związku z tym Zarząd wystosował okólnik do zamożniejszych członków gminy informujący ich o stanie rzeczy z prośbą o zasilenie kasy gminnej. Podkreślano w nim, że dziś udzielona kilku- rublowa pomoc może uchronić niejedną rodzinę przed osunięciem się w skrajną nędzę. Dzięki temu może się ona nie stać ciężarem dla całej społeczności na stałe. Apel ten początkowo zdawał się odnosić pożądany skutek. Po kilku dniach od jego ogłoszenia wpłynęło do kasy gminnej ok. 770 rs. Jednak już niebawem tempo tej zbiórki spadło, a jej efekty w stosunku do potrzeb — zwłaszcza zimą 1890/91 — stały się niewystarczające. Oglądanie się na bogaczy żydowskich nie po raz pierwszy okazało się nie dawać gwarancji dla prowadzenia skutecznej akcji charytatywnej.

Gmina gorączkowo poszukiwała nowych źródeł dochodu: M.in. „Kurier Warszawski” podał we

wrześniu 1890 r. informację o projekcie zagospodarowania terenów, należących do Gminy, położonych w okolicy Domu Schronienia Starców i Sierot

Wyznania Mojżeszowego. Chciano tam wydzierżawić pomieszczenia na sklepy i mieszkania oraz na targowisko wolskie. Środki uzyskane z tego tytułu miały zasilić fundusze obracane na dobroczynność. Informacje te okazały się niezupełnie ścisłe, gdyż był to tylko niezobowiązująco sformułowany dwa lata wcześniej projekt, który nie został przedłożony władzom. Cała sprawa dowodziła jednak wyraźnie kryzysu w finansach gminnych. Jeszcze w listopadzie 1890 r. rozesłano też właścicielom i zarządom domów blankiety do spisu ludności żydowskiej Warszawy. Miały one posłużyć do wyznaczenia podatków gminnych w roku przyszłym. Budżet powstały w wyniku podjęcia tych działań został zatwierdzony dopiero na przełomie lipca i sierpnia 1891 r. Opiewał on po stronie dochodów na 130981 rs, a po stronie wydatków na 130939 rs. Te ostatnie powiększyła podwyżka uposażeń rabinów pierwszej klasy z 500 rs. do 750 rs. rocznie i drugiej klasy z 400 rs. do 500 rs. rocznie. Fundusze dobroczynne już wówczas uznawano za niewystarczające.

Poważną część dochodów Gminy stanowiły zapisy testamentowe. Jednak często Gmina miała trudności z zatwierdzeniem przez władze tych darowizn. Sytuacji nie ułatwiała często postawa krewnych testatorów. Np. w roku 1888 zmarł Józef Reich- man. Zapisał on Gminie synagogę wraz z leżącą przy niej trzypiętrową oficyną oraz placem do nich przylegającym. Jednak zatwierdzenie tego legatu przez władze zostało wstrzymane w efekcie protestu rodziny testatora, uważającej go za niewykonalny.

Natomiast nadspodziewanie spokojnie przeszły wybory do władz gminnych, które odbyły się 17—20 XI 1890 r. Poprzednia elekcja miała szczególnie burzliwy charakter. Teraz nie prowadzono żadnej agitacji. Zgłoszono tylko dwie listy, nieznacznie tylko się różniące. Było to związane z tym, że kilku „zmęczonych pariasów” chciało wycofać się z udziału w sprawowaniu władzy. Toteż zainteresowanie wyborami było niewielkie. Na 1051 potencjalnych wyborców głosy swe oddało 735 osób.

Jeszcze w roku poprzednim przedmiotem powszechnego zainteresowania i licznych komentarzy była budowa przez Gminę Przytułku dla Nieuleczalnie Chorych i Paralityków. Już na początku omawianego roku zapowiedziano jego otwarcie w dn. 30 IV 1891 r. Natomiast drugi numer „Przeglądu Tygodniowego” w 1891 r. przyniósł wiadomość o oddaniu tej placówki do użytku. Była ona jednak przedwczesna. Już w marcu miano przystąpić do prac wykończeniowych. Latem zaś zapowiedziano, że Przytułek będzie otwarty 15IX 1891 r. Informowano o szczegółach rozplanowania budynku oraz o najstarszych pensjonariuszach, którymi mieli być stupełtnastoletnia staruszka i stupełtnoletni starzec. Jednak ze względów

finansowych do końca omawianego roku nie udało się Gminie dokończyć tej inwestycji.

Natomiast wiele zainteresowania opinia publiczna Warszawy poświęcała Przytułkowi dla Rekonwalescentów fundacji małżonków Levy. Jego początki sięgały dwudziestu lat wstecz, jednak pełny rozwój zapewniła mu darowizna Henryka Levy i jego małżonki przy wsparciu Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Dzięki niej Przytułek uzyskał nowy gmach luksusowo, jak na owe czasy, wyposażony. Była to fundacja, wywodząca się z oświeconych kręgów żydowskich, o charakterystycznym kształcie. Dzielila się na dwa oddziały, przeznaczone dla Żydów i chrześcijan. W ten sposób filantropi żydowscy mieli nadzieję uzyskać efekt rozbicia niewidzialnych murów getta żydowskiego. W poświęceniu przytułku brali udział i przemawiali na tej uroczystości ksiądz rektor Zygmunt Chęłmicki oraz kaznodzieja Wlk. Synagogi na Tłomackiem, Izaak Cyłkow.

Z okazji oddania Przytułku dla Rekonwalescentów wśród Żydów warszawskich krążyła anegdota. Pewien biedak szczęśliwym trafem zdobył niemałą sumę pieniędzy. Zakupił za nie na święto Pesach szereg luksusowych przysmaków. Zona czyniła mu wyrzuty, że brak jest jeszcze mac. On jednak ją uspokajał, że wszystko będzie dobrze. Niemal w ostatniej chwili przed początkiem najważniejszego ze świąt żydowskich w domu tegoż biedaka wybuchła awantura o brak wyżej wspomnianych mac. Zbiegli się sąsiedzi. Dowiedziawszy się o przyczynie konfliktu rodzinnego, zgodnie z tradycją religijną, nakazującą dopomaganie ubogim w organizowaniu świąt, złożyli się oni na mace dla biednej rodziny. Jej ojciec tryumfował, bo oto tym sposobem w domu znalazły się mace i moc przysmaków świątecznych, z indykiem na czele. Pointą drugą tej opowieści było wyrażenie nadziei, że być może tak się też stanie w przypadku, pozostającego w dość opłakanym stanie, szpitala żydowskiego w Warszawie, którego budowę uprzedziło oddanie do użytku wspaniałego domu dla rekonwalescentów. Warto podkreślić, że Szpital Starozakonnych w Warszawie cieszył się sławą daleko poza granicami Królestwa Polskiego. Świadczyła o tym m.in. wiadomość o zapisie testamentowym Maurycego Koniara z Wrocławia, który legował na jego rzecz 2000 talarów. Na razie wszakże najwięcej otuchy dawały informacje z Łodzi o tamtejszym szpitalu fundacji małżonków Poznańskich.

Natomiast budowa nowego Szpitala Starozakonnych w Warszawie, która to sprawa ciągnęła się już od kilku lat, wyraźnie kulała. Podstawową trudnością stojącą na przeszkodzie realizacji tego zamierzenia była sprawa uzyskania odpowiedniego placu pod budowę szpitalnych gmachów. Toteż w sumie w roku opisywanym rozwój bazy leczniczej żydowskiej Warszawy miał się ograniczyć do przeróbek w starym gmachu Szpitala Starozakonnych. Miano m.in. adaptować zabudowania gospodarcze w celu powiększenia ilości miejsc na oddziale wewnętrznym, czego domagały się miejskie władze sanitarne.

Sytuacja finansowa warszawskiego szpitala żydowskiego była trudna. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy były trudności w ściąganiu należności od gmin prowincjonalnych z tytułu usług świadczonych ich członkom. Z drugiej strony niewielu Żydów mogło korzystać z pomocy udzielanej w szpitalach chrześcijańskich. Np. gdy w 1891 r. w Szpitalu Starozakonnych przebywało ogółem 5964 chorych, to pośród nich odnotowano 559 chrześcijan. W ambulatorium Szpitala Dziecięcego im. Bersonów-Baumanów ilość porad i zabiegów świadczonych dzieciom chrześcijańskim sięgała ponad 30% ogółu. Natomiast w tym samym roku np. w szpitalu dziecięcym przy ul. Aleksandra leczono 1100 małych pacjentów, w tym 10 Żydów. Mimo to szpitale żydowskie przodowały w niektórych formach opieki o charakterze charytatywnym. Gdy w lutym 1891 r. poczęto dyskutować na forum publicznym nad założeniem dla poszczególnych dzielnic ambulatoriów wydających bezpłatnie lekarstwa ubogim, to okazało się, że szpitale żydowskie czynią to już od dawna. Na razie udawało się ich Zarządom łątać braki budżetowe, a Szpital Dziecięcy nawet spłacił w 1890 r. sumę przeszło 600 rs. długu z roku zeszłego. Jednak nie było tajemnicą, że żydowska służba zdrowia była w stanie krytycznym, a pauperyzacja mas żydowskich wpływała na pogorszenie się warunków sanitarnych. Np. latem 1891 r. pojawił się problem zaskórniczek na tle gastrycznym. Ulegali im po obfitym obiedzie świątecznym ci Żydzi, którzy chronicznie nie dojadali w dni powszednie. Władze policyjne żądały, by Gmina przeprowadziła akcję uświadamiającą zagrożenie, nie dostrzegając strukturalnego charakteru jego przyczyn socjalnych.

Poszukiwano też środków zaradczych, mających ułatwić leczenie się chorym z uboższych warstw ludności. Do takich należał projekt Ignacego Kaufmana, założyciela Stowarzyszenia Subiektów Handlowych Wyznania Mojżeszowego, powołania Stowarzyszenia opieki nad chorymi w domach prywatnych. W listopadzie 1891 r. miało się odbyć zebranie przygotowujące jego statut, który chciano przedłożyć do zatwierdzenia odnośnym władzom. Jednak najbardziej nowoczesny był projekt autorstwa prezesa Gminy Żydowskiej dr. Ludwika Natansona, opublikowany po raz pierwszy w „Kurierze Warszawskim”. Polegał on na propozycji stworzenia ubezpieczeń umożliwiających bezpłatne leczenie. Autor powoływał się przy tym na wzory zachodnioeuropejskie. W styczniu 1891 r. sprawa ta była dyskutowana na forum Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu. Natansonowi udało się wówczas przekonać do swego projektu zebranych, choć nie brakowało także oponentów twierdzących, że cały projekt jest utopijny.

Niełatwą sytuację Żydów warszawskich pogarszała jeszcze wzbierająca fala antysemityzmu. Koniec roku i związane z nim święta chrześcijańskie przynosiły zwykle tak ważne dla Żydów ożywienie w handlu. Tymczasem w 1890 r.: „Żywcem z Niemiec importowane hasło: „nie kupujcie u Żydów” rozbrzmiewa u nas, zwłaszcza wobec zbliżającego się sezonu gwiazdkowego”. Oprócz ogólnikowych wezwań poczęły się wówczas pojawiać konkretne postulaty bojkotu poszczególnych firm. Próbowano je wydrwić, układając żartobliwy katalog środków prowadzących do sprawdzenia czy dana firma zasługuje na kupowanie w niej. Należy wątpić, by kpiny te okazały się wobec antysemitów skuteczne. Nie po raz pierwszy i ostatni wskazywano na niemieckie wzorce judofobii w Polsce. Toteż Żydzi warszawscy pilnie śledzili doniesienia z Niemiec. Wszystkie dobre wieści stamtąd witano z radością. Do nich należała

dymisja kaznodziei nadwornego w Berlinie, znanego antysemitę, pastora Stockera. Niestety już niedługo miało się okazać, że młody cesarz niemiecki wcale nie jest przyjacielem Żydów. Entuzjastycznie też komentowano tolerancyjną postawę władz Hesji i Darmstadt.

Rodzimi antysemitę też wykazywali się „pomysłowością”. J. Potocki na łamach „Głosu” proponował m.in. rozwiązanie kwestii żydowskiej poprzez „nowy Exodus”. Także długą polemikę prowadzili publicyści żydowscy z antysemitami tezami rozprawy pt. „Czem jest Izrael”, opublikowanej również w „Głosie”. Redaktorzy „Izraelity”, z N. Sokołową na czele, ścierali się często z Bolesławem Prusem. Choć osobiście nie uważam go za zdeklarowanego antysemitę, to jednak sympatią do prześladowanych Żydów znakomity pisarz się nie wykazywał, a w jego lekkim stylem pisanych „Kronikach tygodniowych” wiele sformułowań może budzić sprzeciw. Toteż w dużej mierze przyznać wypada rację stwierdzeniu N. Sokołowej, który w marcu 1891 r. pisał: „P[an] Prus powrócił do swego antysemito-socjologicznego rachunku procentowego. Choć nie zapisał się wyraźnie pod sztandary antysemityczne, znakomity ten felietonista miewa chwile i natchnienia mocno tą dążnością nacechowane”.

Natomiast życie codzienne niosło z sobą różne i czasem zgoła przeciwstawne w wydźwięku drobne wydarzenia. Np. absolwenci Szkoły Niedzielno-Handlowej pochodzenia żydowskiego postanowili zebrać się 1 XI 1890 r. w lokalu Stowarzyszenia Subiektów. Stało się tak dlatego, że ich koledzy z chrześcijańskich domów odmówili wspólnego z nimi pozowania do pamiątkowej fotografii. Niemal w tym samym czasie ogłoszono publicznie testament Agnieszki Chmielowiczowej. Ta zacna kobieta przez 30 lat była służącą w domu dr. Jana Funkensteina. Niebawem jej oszczędność spowodowała, że w swym legacie mogła pozostawić 1050 rs. Z sumy tej 375 rs. przekazała na rzecz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, dalszych 375 rs. na rzecz Domu Schronienia Starców i Kalek Wyznania Mojżeszowego, a 300 rs. na utrzymanie swego grobu na cmentarzu Powązkowskim. Warto przy tym zważyć, że jeszcze wcale w nie tak zamierzchłych czasach prawa Królestwa Polskiego zakazywały Żydom przyjmowania na służbę chrześcijanek.

Większość osobistości żydowskiego życia społecznego uważała, że usunięcie wszystkich jego bolączek może dać jedynie oświata. Szczególną estymą wśród „postępowców” otoczona była pamięć Szkoły Rabinów, zamkniętej przez władze carskie w przeddzień wybuchu powstania styczniowego. Na początku 1891 r. nauczyciel II Gimnazjum w Warszawie, Karol Hertz, podjął próbę zorganizowania zjazdu wychowanków tej placówki. Nadmienić trzeba, że tego rodzaju projekty były już rzucane kilkakrotnie na łamach „Izraelity”. Tym razem rzecz wydawała się wchodzić w stadium ostatecznej realizacji. Jednakże organizatorzy sami nie mieli jasno sprecyzowanej koncepcji imprezy. Najpierw podawano, że zjazd ma objąć wychowanków trzech ostatnich lat, potem uczęszczających do Szkoły Rabinów w pięciu ostatnich latach. Pomimo, że ponoć uzyskano zgodę władz i wyznaczono termin spotkania oraz jego miejsce w Wlk. Synagodze na Tłomackiem 15 III 1891 r., to jednak nie wiadomo czy się ono odbyło.

Tymczasem sytuacja szkolnictwa żydowskiego w Warszawie była trudna. Utrzymywała je Gmina, gdy tymczasem oświatowe placówki chrześcijańskie i ogólne otrzymywały środki z kasy miejskiej, do której wszak wpływały podatki płacone przez Żydów. W interesującym nas roku szkolnym władze miejskie ponadto udzielały zapomóg szkołom w wysokości 121115 rs., z której to sumy zaledwie 10% przypadło oświacie żydowskiej. Toteż trudno się dziwić, że liczba elementarnych szkół gminnych od lat się nie zmieniała (3 męskie i 2 żeńskie). Wstępowanie zaś do szkół ogólnych wiązało się z trudnościami natury religijnej, nie mówiąc o tym, że często nie zapewniało judaistycznego wychowania w ogóle. Z radością więc witano każdą zmianę na lepsze. Należało do nich zatrudnienie w IV Gimnazjum Męskim w Warszawie stałego nauczyciela religii mojżeszowej w styczniu 1891 r. Chwytano się też różnych sposobów poprawy sytuacji; np. Gmina w tymże roku, wiosną, ogłosiła nabór na kurs ogrodniczy. Można by rzec, że został on zorganizowany sposobem gospodarczym przez wygospodarowanie kawałka gruntu na cmentarzu przy ul. Okopowej, gdzie ogrodnik miał prowadzić praktyczną naukę.

Niewielkie też szanse mieli Żydzi na podjęcie studiów uniwersyteckich. W 1890 r. przyjęto na Wydział Lekarski Uniwersytetu w Warszawie 97 studentów, w tym 28 Żydów; na Wydział Prawny 60, w tym 10 Żydów; na Wydział Fizyczno-Matematyczny 32, w tym 2 Żydów; na Wydział Historyczno-Filologiczny 5, w tym ani jednego Żyda. Natomiast w 1891 r. absolwentami tej uczelni zostało na Wydziale Lekarskim 78 osób, w tym 21 Żydów; a na Wydziale Prawnym 79 osób, w tym 5 Żydów. Na domiar złego w tym samym roku władze carskie zapowiedziały, że Żydzi będą mogli stanowić wśród nowo przyjętych jedynie 10%.

Szczególnym zainteresowaniem społeczności żydowskiej w Warszawie cieszyły się szkoły rzemieślnicze, w których upatrywano antidotum na pauperyzację licznych rękodzielników żydowskich. Toteż Warsztaty do nauki rzemiosł — Gminne, przy Domu Schronienia i przy Stowarzyszeniu Subiektów Handlowych — najczęściej doznawały wsparcia, ze strony żydowskich filantropów. Np. Adolf Ginsberg z Zawiercia pod koniec 1890 r. ofiarował trzem wymienionym placówkom po 1000 rs., a bankier Wilhelm Landau z okazji pierwszej rocznicy śmierci swego syna wyasygnował na Warsztaty przy Stowarzyszeniu Subiektów 500 rs.

Zwłaszcza te ostatnie rozwijały się szczególnie prężnie. Należy też podkreślić, że właśnie w opisywanym przez nas okresie zaczął się interesujący proces odrywania się tej szkoły rzemieślniczej od organizacji dla niej nominalnie macierzystej. Opiekę nad nią przejmować poczęło grono zamożnych i wpływowych osób, pod przewodnictwem Samuela Bergsona i dr. Józefa Poznańskiego. Z tego kręgu w 1905 r. wyłoni się Stowarzyszenie Dostarczania Pracy Ubogim Żydom w Warszawie. Tymczasem dwaj wyżej wspomniani panowie zakupili w lutym 1891 r. plac, na którym miano wznieść siedzibę Warsztatów. Roboty budowlane podjęto późną wiosną

tegoż roku. Plany zakładały wzniesienie gmachu mającego pomieścić 80 uczniów.

Samo zaś Stowarzyszenie Subiektów Handlowych Wyznania Mojżeszowego trawione było kryzysem. Snuto w nim program rozwinięcia szerszej działalności filantropijnej. M.in. zapowiadano, że zimą 1890/91 r. Stowarzyszenie podejmie trud wyszukania ubogich, wstydzących się prosić o wsparcie, zwłaszcza w postaci węgla na opał. Akcja ta nie mogła być jednak zbyt rozległa, gdyż organizacja ta przeżywała trudności finansowe. Pod koniec 1890 r. musiała ona zawiesić udzielanie pożyczek, bowiem lekkomyślni dłużnicy nie uiszczali należności, a wielu członków zalegało ze składkami. Co prawda „Subiekci” zobowiązali się wyrównać te zaległości z gratyfikacji noworocznych, ale w ciężkiej sytuacji ekonomicznej trudno było liczyć na efektywny skutek podobnych deklaracji. Ostatecznie też wiadomości o działalności interesującego nas Stowarzyszenia w omawianym roku ograniczają się przede wszystkim do informacji o balu na rzecz wdów i sierot po jego członkach. Odbył się on 31 I 1891 r. pod protektorem Michałowej Bergsonowej i przyniósł ok. 1000 rs. dochodu. Organizowano też w lokalu Stowarzyszenia wieczory wokalne-muzyczne. Jednakże w sumie np. na kuracje swych niezamożnych członków „Subiekci” zdołali wyasygnować w tym roku zaledwie 200 rs.

Jednym z tematów, który żywo poruszał opinię publiczną Warszawy w omawianym roku, była sprawa emigracji do Brazylii. Jesienią 1890 r. zaczęły pojawiać się coraz częściej doniesienia na ten temat. Wieści te były rzeczywiście alarmujące. Wyludniały się osady w ubogich regionach rolniczych, jak np. w Łomżyńskim i na Suwalszczyźnie. Obfite żniwo zbierała „epidemia emigracyjna” w środowiskach robotniczych; m.in. w okolicach Łodzi. Doniesienia mówiły, że za całą sprawą, stoją agenci niemieckich firm przewozowych oraz Indzie inspirowani przez brazylijskich plantatorów, poszukujących „białych niewolników”. „Hiobowe wieści” dochodziły też o losie emigrantów, dotycząc zarówno warunków podróży, w czasie której śmierć zbierała obfite żniwo zwłaszcza wśród dzieci, jak i tragicznych warunków, w których mieli się oni znaleźć po przybyciu na miejsce. Cała sprawa stała się pożywką dla antysemitkiej propagandy. Twierdzono bowiem, że rej wśród owych osławionych agentów wiodą Żydzi. Na nic też zdawały się argumenty odwołujące się do faktów, w świetle których wśród ujętych „agitatorów emigracyjnych” zgoła nie było ludzi pochodzenia żydowskiego lub były to bardzo nieliczne przypadki. Judofofii nie tłumili też argumenty mówiące o licznych ofiarach gorączki emigracyjnej wśród ludności żydowskiej, czy wykazujące absurdalność tezy, jakoby Żydzi mieli namawiać chłopów do wychodźstwa w nadziei objęcia ich ziemi. Cała sprawa była przynajmniej częściowo efektem prowokacji władz carskich. Świadczyć o tym może m.in. np. doniesienie opublikowane w rosyjskiej gazecie „Nowe Wriemia”, w którym stwierdzono, że wielki fabrykant łódzki Izrael Poznański miał wyasygnować na podsycenie emigracji setki tysięcy rubli. Informację tę dementował sam zainteresowany.

Ferment wokół sprawy emigracji był tak wielki, że „Kurier Warszawski” zdecydował się wysłać do Brazylii, jako swego korespondenta, polskiego pisarza Adolfa Dygasińskiego. Jego podróż

trwała od grudnia do lutego 1891 r. Tymczasem zjawisko zaczęło przygasać, co jednak w sytuacji Żydów warszawskich o tyle nie przyniosło poprawy, że teraz gazety warszawskie za prasą galicyjską informowały opinię publiczną o tym, że Żydzi pełnią funkcję „naganiaczy białych niewolników” tym razem na Bukowinie. Taka jest bowiem specyfika „błędnego koła” irracjonalnych uprzedzeń narodowościowych.

Wychodźstwo do Ameryki Południowej przyniosło też wydarzenie na skalę ogóln żydowską. Oto potentat żydowski, baron Hirsch, postanowił rozwiązać problemy Żydów europejskich przez zakupienie dużych obszarów ziemi w Argentynie i urządzenie tam Kolonii. Była to propozycja konkurencyjna do planów syjonistycznych. Czas miał polcazać, że nie była ona realistyczna. Już w swej początkowej fazie przynosiła nienajlepsze rezultaty, gdyż w pierwszej połowie 1891 r. ludzie pod wpływem wizji ziemi obiecanej w Argentynie zaczęli wyjeżdżać za ocean, nie czekając na urządzenie kolonii przez Hirscha. Sprawa ta była żywo dyskutowana przez Żydów warszawskich. Najbardziej niechętnie usposobieni byli do niej chasydzy, którzy powodowali się przesłankami religijnymi. Dla nich pomysł Hirscha był ingerencją w boską wszechmoc rządzącą światem, toteż mieli wówczas mawiać: „Czekajmy już lepiej na Mesjasza”. O rozgłosie tego przedsięwzięcia świadczy fakt, że jeszcze jesienią 1890 r. gruchnęła w Warszawie wieść o skupowaniu przez słynnego barona nieruchomości w syrenim grodzie. Źródłem plotki było to, że pewien Hirs — rodem z Warszawy — kupił na jej terenie dom.

Innego rodzaju sensacją, pobudzającą wyobraźnię ówczesnych ludzi, były doniesienia o odkryciach niemieckiego bakteriologa Roberta Kocha. Opracowany przez niego środek do leczenia nieuleczalnej podówczas gruźlicy wielu ludziom dawał nadzieję.

Badania nad skutecznością środka i jego właściwościami były przedmiotem licznych, często sprzecznych komentarzy. Jednym z pierwszych warszawskich szpitali, który podjął próby ze środkiem Kocha był Szpital Starozakonnych. Doświadczenia na pacjentach prowadzili w nim dr Freidensohn na oddziale wewnętrznym i dr Elsenberg na oddziale chorób skóry. Pozytywnie oceniali oni skutki iniekcji. Oficjalne czynniki medyczne potwierdziły ich opinię w lutym 1891 r. Jednak środek Kocha zwany dziś tuberkuliną nie zrobił spodziewanej kariery leczniczej, natomiast do dziś jest podstawowym środkiem diagnostycznym. Niestety i efekty badań nad gruźlicą w paradoksalny sposób przyniosły wzrost niechęci antyżydowskiej. Wynikało to z doniesień o tym, że Żydzi rzadziej zapadają na gruźlicę. Nie dla wszystkich wówczas było jasne, że zarazek jest „kosmopolitą i bezwyznaniowcem”, mimo oczywistości faktów. Toteż pośpiesznie publicyści i lekarze żydowscy musieli kleić uzasadnienia dla wspomnianego zjawiska. Jednym z nich było stwierdzenie, że Żydzi często unikają zakażeń w związku ze szczegółowym badaniem żywności pod względem rytualnym, co np. wykluczało spożycie mięsa zwierzęcia chorego na gruźlicę płuc. W tym wypadku zresztą irracjonalne źródła niechęci były zbyt oczywiste, więc sprawę zarazka szybko zarzucono.

Najważniejszym bodaj dorocznym wydarzeniem dla Żydów warszawskich był pobór do carskiej armii. Ogłoszone w październiku 1890 r. postanowienie o nim nie zapowiadało nic dobrego. Była w nim mowa m.in. o tym, że z losowania wyłączeni będą korzystający z ulg pierwszej kategorii, ale z wyjątkiem Żydów. Utrzymane także zostało w mocy postanowienie o udzielaniu nagrody 50 rs. za dostarczenie jednego Żyda uchylającego się od poboru.

Sam pobór miał miejsce w dniach 13 XI—9 XII 1890 r. Dość dokładne dane dotyczące jego przeprowadzenia pozwalają potwierdzić zauważoną już wcześniej tendencję władz wojskowych do bezwzględnego potraktowania Żydów, dla których służba wojskowa była katastrofą i udręką. Podlegały poborowi w Warszawie 3162 osoby, z czego Żydzi stanowili 43,5%. Procentowy udział wśród powołanych pod broń był, jeśli o nich chodzi, nieco wyższy, pomimo że Żydzi stanowili nie więcej niż trzecią część populacji Warszawy. Wśród tych, którzy zostali przyjęci do wojska, pomimo że byli żonatymi ludźmi, stanowili oni przeszło 70%, a wśród pozostawionych na obserwacji w szpitalu jako potencjalni symulanci było ich niemal 63%. Natomiast Żydzi, którzy uzyskali zwolnienie z poboru na edukację, stanowili tylko 17% ogółu poborowych mieszczących się w tej kategorii.

Niechętnie Żydom stanowisko władz carskich zmanifestowało się także w kontynuowaniu polityki skierowanej przeciw tym z nich, którzy byli obcymi poddanymi (por. poprzednie Kalendarze Żydowskie). Wysiedleni z terenu Królestwa Polskiego mieli zostać wszyscy z nich poza bogatymi bankierami i prowadzącymi rozległe interesy. Z terenu Warszawy do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wpłynęło 78 podań Żydów—cudzoziemców, proszących o pozwolenie na pozostanie na miejscu. W ich efekcie tylko dwóm rodzinom pozwolono pozostać w Warszawie nie dłużej niż dwa miesiące, dwóm przez pół roku, a jednej do 13 XII 1892 r. Reszta podań została odrzucona. W grudniu rządowa gazeta rosyjska w Warszawie, „Warszawski Dziennik”, zapowiedziała bezwzględne wykonanie przepisów ukazu z 14 III 1887 r. ograniczającego prawa Żydów—cudzoziemców do posiadania nieruchomości. Sugerowano przy tym, że administracja dobrze wie o obchodzeniu tych przepisów. Stwierdzano wręcz: „Z Żydami najwięcej kłopotu”, gdyż nawet po wydaleniu z granic Królestwa potrafią oni przez „zieloną granicę” szybko powrócić. Przypomniano też, że z Warszawy w roku 1889 deportowano 343 rodziny.

W omawianym roku władze policyjne wydały też szereg przepisów i zarządzeń głęboko ingerujących w życie żydowskie. Na początku 1891 r. potwierdzono i utrzymano zakaz rozwieszania eryfów, ważnych ze względu na przepisy religijne dotyczące świętowania Szabasu. Warszawski Oberpolicmajster zarządził też, że do 27 III tegoż roku mają zostać zamknięte wszystkie domy modlitwy nie mające świadectw dokonanych oględzin ich stanu sanitarnego i przeciwpożarowego. W kwietniu 1891 r. władze policyjne rozesłały do cyrkulów

listy mełamedów posiadających zgodę władz na prowadzenie chederów. Miano na ich podstawie dopilnować, by inne szkoły religijne nie mogły pracować. We wrześniu zaś grożono zamknięciem tych z nich, które nie wykonały zaleceń policyjnych dotyczących stanu sanitarnego itp. W tym samym czasie Oberpolicmajster stwierdził, że na ulicach i placach dzielnicy żydowskiej w Warszawie Żydzi gromadzą się tłumnie, dzieci bawią się, zaś subiekt zaprasza przechodzących do odwiedzania sklepów. Powodować to miało zakłócenia porządku. W związku z tym przełożony policji nakazywał: 1) właścicielom sklepów mieć pieczę nad załatwianiem transakcji wyłącznie wewnątrz sklepów 2) właścicielom i rządcom domów oraz stróżom dopilnowanie tego, by na chodnikach przed kamienicami nie gromadzili się ludzie 3) starszym dozorcóm dokonywanie obchodów miejsc szczególnie tłumnie odwiedzanych 4) wydalenie wszystkich Żydów—cudzoziemców. O eskalacji działań policyjnych świadczy też fakt, że do tych porządkowych działań miała zostać włączona również policja śledcza.

Powyższa prezentacja ograniczonego szczupłością miejsca obrazu życia żydowskiej Warszawy w roku 5651 nie dostarcza wesołych refleksji. Był to okres bez wątpienia trudny. Jego realia wyznaczały: pogarszająca się sytuacja ekonomiczna, zwłaszcza spauperyzowanych mas żydowskich, oraz wzbierająca fala nastrojów antysemitycznych, objawiających się czasem w zaskakujących zgoła kontekstach. Nie odnotowano natomiast wydarzeń o bardziej dalekosiężnym zasięgu. Rok ten bowiem wypełniała przede wszystkim walka o przetrwanie ze strony prostych ludzi i przyniesienie im ulgi ze strony instytucji żydowskich w niewystarczającym, niestety, zakresie. Nad całością sytuacji ciążyła także niechętna Żydom polityka władz rosyjskich, a zwłaszcza policyjnych.

Opracował: Reb. Janusz Baranowski